Dodatek do Nr. 243 „Głosu Narodu".

Kraków, 10 września 1933 r. 1.

GŁOS LITERACKO - NAUKOWY

wychodzi w niedzielę jako bezpłatny dodatek „GŁOSU NARODU"

Zwycięstwo Sobieskiego

w sztuce polskiego malarstwa historycznego

Malarstwo historyczne, jako jeden z przejawów odrodzenia polskiego ducha. — Temat bitwy pod Wiedniem. — Obraz Matejki

Rozpatrując łańcuch okresu rozwojowego polskiej sztuki plastycznej w dziedzinie malarstwa historycznego, trudno nie zauważyć. że temat „Odsieczy wiedeńskiej", wraz ze związanemi z nią wypadkami i osobą Sobieskiego, odgrywał tutaj niemałe znaczenie. W wyobraźni artystów polskich, zwłaszcza z nastaniem i pochodem dziesięciolecí XIX. w., poprzez nurt rzeki dziejów pełnej skrętów, mielizn i wirów, poprzez zmiany socjalno - polityczne, wewnętrzne przewroty i zewnętrzne wpływy, budzi się coraz silniej, coraz potężniej i coraz bardziej świadomie poczucie narodowej odrębności i narodowego charakteru. — a wraz z tem odżywa cały świat wspomnień czerpanych z pełnych świetności kart dziejów niepodległej Ojczyzny. Chwila nabrzmiała bolem odrętwienia nie trwa długo. Właściwa plemieniu świeżość, temperament i prężność duchowa, każe wydobywać się zwolna z pod władzy rezygnacji i pesymizmu, uwalniać się z pośród wielkiego, groźnego tchu kosmopolitycznych oddziaływań, przenosząc — przynajmniej narazie — sferę artystycznych wrażeń w dziedzinę marzenia, związanego w wielkiej mierze z chwilami żywiołowych przejawów potęgi narodu.

Zwycięstwo Jana III. pod Wiedniem było ostatnim żywiołowym przejawem, ostatnią świetną kartą w księdze historji Polski. To też stosunkowo niewielka przestrzeń czasu, dzieląca artystów od czynu wielkiego króla — wojownika, egzotyczne bogactwo barw i form, zawarte w zbrojach, akcesorjach i typach, kazało zajmować się tem zdarzeniem już artystom 17 i 18 w.; podejmują go ze zdwojoną siłą różni malarze wieku 19-go, tej epoki malarstwa historycznego. Począwszy od Marcina Altomonte malującego w Żółkwi, poprzez J. Rugendasa do Bacciarellego i Norblina, aż do łańcucha artystów 19 stulecia, jak Smuglewicz i Peszka, Orłowski, Michałowski i Juljusz Kossak, Rodakowski, Grottger, Chlebowski, Brandt i Maurycy Gottlieb, — wszyscy oni wykazują plastyczne zainteresowania ową chwilą dziejową pośrednio lub bezpośrednio — tworzą wreszcie liczne portrety Sobieskiego w sytuacjach przepojonych pierwiastkami dramatyczno - romantycznego heroizmu.

Atoli żadnemu z malarzy t. zw. malarstwa historycznego, nie było danem wypowiedzieć się tak potężnie i tak niezwykle pod tym względem, jak to uczynił Matejko masą swej oślepiającej indywidualności. Trudno tutaj mówić o pierwiastkach, z których składała się sztuka tego wielkiego dramaturga i romantyka, wizjonera i pełnego ekspresji realisty. Z pod jego pendzla wyłania się przeszłość Polski wraz z jej cierpieniami, błędami i zaletami, dramatami i radościami, upadkami i wzlotami, galerja wielkich zdarzeń, potężnych wzruszeń, wspaniałych czynów, korowód nadludzi, w których potężnych piersiach płynie wezbrana lawa metafizycznych uczuć, rozpaczliwych przeczuć, nawałnice rozpaczy i bohaterstwa, skamieniałość nieodwołalnych postanowień. Takie dzieła jak Skarga, Rejtan, Batory, Grunwald lub „Hołd Pruski" mówią nieskończenie wiele i pozostaną na zawsze nieśmiertelnym pomnikiem chwały wielkiego mistrza, który mimo wszystko nie wypowiedział jeszcze tutaj swego ostatniego słowa ani jako myśliciel, a tem mniej jako artysta.

To co stworzył Matejko malując **„Sobieskiego pod Wiedniem"** (1883), jest niewątpliwie najwybitniejszem dziełem zarówno ducha jak formy z pośród plejady wszelkich istniejących tworów artystycznych, związanych z owem doniosłem wydarzeniem, tak pendzla malarzy polskich jak i zagranicznych. Jednocześnie należy ono jednak — niestety — do słabszych tego rodzaju dzieł artysty.

Już poprzednio temat ten zwracał niejednokrotnie uwagę Matejki. „Odsiecz Wiednia" (1879)", oraz akwarela: „Sobieski zdobywa sztandar" (1880), są widomą realizacją jego zainteresowań. Jednak w obrazie: „Sobieski pod Wiedniem" odpada cały aparat bitwy, oblakane napięcie ruchu, dynamika nienawiści i groza śmierci jakiej możemy się napatrzeć do syta n. p. w takim „Grunwaldzie". Matejko przedstawił tutaj chwilę po bitwie, kiedy odpadł zupełnie moment niezwykłego napięcia, kiedy szaleństwo mordowania legło wyczerpane bezcelem, kiedy poprzez znużenie budzi się jakoby niezupełnie wyzwolona fala radości, obleczona w szaty względnie spokojnego zadowolenia ze spełnionego obowiązku, cichego dziękczynienia lub spokojnego triumfu. Król stanowi centralną postać obrazu. Siedzi na koniu na tle lasu husarskich chorągwi, po lewej i po prawej stronie tłum polskiego i cudzoziemskiego rycerstwa. Na pierwszym planie fragmenty nasuwające reminiscencje minionej bitwy, ranni, zabici i triumfujący, — w głębi pejzaż ze wzgórzami, namiotami tureckiemi i panoramą Wiednia.

Niewątpliwie głębokie uczucia patrjotyczne i religijne, któremi przepojona była sztuka Matejki, skłoniły go do namalowania tego obrazu, odmówienia sprzedaży dzieła krakowskiemu Muzeum Narodowemu i ofiarowania olbrzymiej pracy Leonowi XIII., w 200-ną rocznicę odsieczy wiedeńskiej, celem godnego jej upamiętnienia. Tendencje religijne wyrażone są już w samym obrazie, gdzie Sobieski wręcza księdzu list z wiadomością o zwycięstwie dla papieża, wskazując jednocześnie na leżącą w pyle i kurzu chorągiew proroka, widomy hołd dla stolicy apostolskiej.

Mimo wszystko ów nieśmiertelny ilustrator historji, wielki malarz - romantyk i wizjoner, nie osiągnął tutaj — rzecz dziwna — poziomu szeregu swych poprzednich wielkich dzieł. Nie brak tutaj coprawda kapitalnych postaci, świetnych, pełnych charakteru głów, bogactwa falującego, zróżniczkowanego a jednak zsyntetyzowanego ruchu, które go ekspresyjny realizm zdaje się być jeszcze ujęty w ramy kompozycyjne wywodzące swój rodowód z dalekich źródeł sztuki klasycznej, — nie brak również tu i ówdzie pierwszorzędnych wartości malarskich i kolorystycznych. Pomijając słabą postać samego Sobieskiego, taki chorąży na koniu pełen heroicznej, męskiej siły, z potężną głową sarmackiego zdobywcy, lub Karol, książe Lotaryński swoją wytworną postacią wojownika - arystokraty, — świadczą o tem dowodnie. Opuściła jednak tutaj Matejkę owa „Iskra Boża", ów płomień który kazał mu realizować arcydzieła, przepojone do ostatecznych granic posuniętem napięciem ducha, uplastyczniać z rzadką w sztuce siłą kosmiczne wizje oglądane w niespokojnem zwierciedle swojej jaźni.

To też trudno odmówić racji St. I. Witkiewiczowi, który w swej pięknej pracy o Matejce podkreśla wspaniały symbol polskiej historji, złote strzemię Kara Mustafy „wiszące jak na soplach krwi na węzłach czerwonego jedwabiu u nóg czarnego Pana Jezusa na Wawelu, Jezusa przed którym modliła się Jadwiga, przed którym ludzie tyle razy wyli z rozpaczy po klęskach Warneńskich, Cecorskich, Batohskich i tyle razy płakali z wdzięczności po zwycięstwach Grunwaldzkich, Obertyńskich i Chocimskich"... symbol, którego treści nie czuł już Matejko — „on wiedział o tem, rozumował, mędrkował, ale nie czuł tak prosto i potężnie, jak czuł proroctwo Skargi, Rejtana, lub Batorego".

A może... może nie mogło już znaleźć plastycznego odpowiednika pragnienie wielkiego, zmęczonego nadmiernym trudem i znojem serca?...

Dr. M. MINICH.

Objęcie naczelnego dowództwa

przez Sobieskiego pod Wiedniem*)

31 sierpnia 1863 r., z końcem 8 miesiąca wojny austro - tureckiej, wynikłej z antyrakuskiego — miłego dla Paryża i Stambułu — powstania północnych Węgier pod wodzą Tekelego, ukazał się na widowni wojennej Jan III. Sobieski. W nizinie Krems — Tulln, przewidzianej na obszar koncentracyjny, objąć miał naczelne dowództwo nad armją koalicyjną i dokonać na czele polsko-austro-niemieckich zastępów odsieczy Wiednia, opasanego pierścieniem wojsk wielkiego wezyra, Kara - Mustafy.

Wysłany dwa dni przed tem przez cesarza Leopolda I. prezes Nadwornej Rady Wojennej, margrabia Herman Badeński, wręczył królowi polskiemu buławę marszałkowską, symbolicznie potwierdzając treść układu sojuszniczego, mocą którego przyznano najwyższe dowództwo nad połączonemi siłami temu z obozu monarchów, który przybędzie do obozu wojennego. Spieszył pod Ober Hollabrun naprzeciwko Króla-Hetmana, wezwanego błagalnym niemal listem cesarza, generalissimus wojsk rakuskich Karola V., książę Lotaryński; okazując głęboką cześć, przywitał dawnego rywala, szczęśliwszego odeń w walce o elekcyjny tron polski.

Zjawienie się Sobieskiego w odległości kilkunastu mil od Wiednia, po wspaniałym dwutygodniowym reidzie konnym, dającym wymowny dowód dużej tężyzny fizycznej niemłodego już króla, oznaczało triumf samej idei ligi chrześcijańskiej, propagowanej właśnie przezeń — głęboko wierzącego i sławnego już pogromcy pół - księżyca.

Stolica naddunajska, oblężona od 6 tygodni przez przeciwnika, omal nie wpadła z początkiem lipca w ręce muzułmanów, gdy Wielki Wezyr, rozpoczęte pozornie oblężenie twierdzy Jawaryn, zamieniając w blokadę, nagle ruszył pod Wiedeń; jedynie postawa tatarskiej straży przedniej, bardziej pragnącej zdobyczy niż walki stanowczej, oraz ociężałość powoli postępującej armji tureckiej, dały zaskoczonemu miastu możność ukończenia przygotowań do walki.

Nieobeznany z rzemiosłem wojennem cesarz, zaledwie uniknął jasyru, uciekając w największym popłochu aż poza granice krajów dziedzicznych do biskupa passawskiego. Margrabiego Badeńskiego aprioristyczny pogląd, że Wezyr nie może inaczej postąpić, jak najpierw zdobyć Jawaryn, okazał się mylnym, co prezes Nadwornej Rady Wojennej odpokutował przyspieszonym również wyjazdem wślad za swym monarchą. Sprawdziły się natomiast daremne ostrzeżenia Sobieskiego, przewidu-

*) Wyjątek z pracy drukowanej w Nr. 1. t. II. „Przeglądu Historyczno - wojskowego".

jącego odrazu właściwy przedmiot strategiczny działań nieprzyjaciela.

Kampanję przeszło 2-miesięczną, t.j. do chwili przybycia Króla, prowadził książę Lotaryński, rozporządzając nikłemi tylko siłami. Od czasu zbliżenia się Turków pod Jawaryn przeszedł do obrony strategicznej. Manewr turecki Jawaryn - Wiedeń zmusił księcia do pośpiesznego odwrotu w kierunku na stolicę. Po wyparciu go przez Wielkiego Wezyra na północny brzeg dunajowy, poczytywał sobie za główne zadanie osłonę szlaków, któremi nadciągać miały wojska sojusznicze książąt niemieckich i Rzeczypospolitej.

Wytrawny generał celu swego dopiął dzięki sprzyjającym mu okolicznościom któremi były brak po stronie tureckiej silnej flotyli rzecznej i niedostateczny poziom nieprzyjacielskich wojsk technicznych w zakresie służby wodnej. Dunaj, pozostając w rękach cesarskich a oddzielając armję Kara - Mustafy od powstańczych oddziałów Tekelego, umożliwiał nierozegraną strategiczną, którą zastał Król w chwili objęcia dowództwa. Poprzednie próby tureckie zagnieżdżenia się większemi siłami na północ od rzeki, skończyły się zupełnem fiaskiem i to głównie dzięki męstwu kilkakroć - tysięcznego niespełna korpusu jazdy Hieronima Lubomirskiego, zwerbowanego w Polsce dla cesarza.

Ten stan rzeczy zezwalał na marsz Polaków przez Śląsk i Morawy, Sasów przez Czechy, oraz na transport rzeczny gros Bawarczyków i Franko-Szwabów a odpowiadał do pewnego stopnia prowadzącemu własną politykę i kokietującemu Polskę, Tekelemu.

Metoda wojenna Turka, polegająca na mistrzowskiem oblęganiu twierdz przeciwnika i równoczesnem pustoszeniu kraju daleko sięgającemi zagonami, stosunkowo skromne dała dotychczas wyniki.

Opanowano — wyjąwszy Jawaryn — niedużą już część Węgier do Habsburgów należącą i leżało w gruzach 5.000 miejscowości w samej Dolnej Austrji. Lecz zdziesiątkowane chorobami i stratami wojska Kara - Mustafy liczyły zaledwie (o czem wiedziano na dworze cesarza) 90.000 kombatantów i oblęgając Wiedeń, same były jakby z trzech stron otoczone. Na wschodzie broniąca się rozpaczliwie załoga wiązała elitę piechoty tureckiej i gros artylerji, na północ Dunaj okazał się przeszkodą w ruchu prawie nie do przebycia, od zachodu odgradzał armję górzysty Las Wiedeński.

Krępowała jednak Sobieskiego konieczność przyśpieszenia odsieczy dogorywającego już Wiednia, choć armja koalicyjna niezebrana jeszcze była w całości w chwili spotkania się Króla z Lotaryńczykiem. Przypuszczalne siły, wchodzące dlań w rachubę, były następujące:

Wojsko polskie, którego artylerja i piechota, tworząc osobną kolumnę Jabłonowskiego, hetmana wielkiego koronnego, mimo pośpiesznego marsza, pozostało w tyle za Królem, obejmowało, prócz licznej czeladzi — wedle spisu z 1-go sierpnia — 26 i pół tysiący głów, w czem 14.253 jazdy, 12.306 piechoty i 28 dział. Niebywały wysiłek marszowy po lichych poczęści drogach, dokonany przez armię rozłożoną przeważnie na południowo - wschodnich kresach Rzeczypospolitej i niedawno postawioną na stopie wojennej, pociągnął jednak za sobą nieunikniony duży ubytek w maruderach. Mimo to najbardziej wartościowym elementem koalicyjnej siły zbrojnej był żołnierz polski, ożywiony wiarą w gwiazdę swego Króla, który już nieraz prowadził go do zwycięstwa nad półksiężycem.

Zwłaszcza jazda polska, którą w czasie marszu dowodził hetman polny Sieniawski uosabiała energię uderzeniową — cechę charakteryzującą również spahisów tureckich a zgoła nieznaną rajtarom niemieckim i austrjackim.

Piechota polska odznaczała się dużą sprawnością manewrowa, wynikającą z niskich etatów pułkowych (około 500 głów) i z podwójnego uzbrojenia — berdysz i muszkiet — szeregowego, który szkolony na modłę niemiecka, znał się również na walce w szyku rozproszonym, stosowanym przez janczarów.

Armja austrjacka zawierała po części świeży, niedoświadczony materiał żołnierski i liczyła 10.000 jazdy i niespełna 8.000 piechoty, dział 60. Na skutek rzucenia najlepszych pułków, jako załogi, do Wiednia, jądro jej stanowił korpusik jazdy Lubomirskiego.

Regimenty piechoty liczyły po 1600 szeregowych, z czego jedna trzecia uzbrojona w piki, zwartą masą, mogła przeciwnikowi zadawać ciosy, używając na przemian broni palnej i białej, lecz wrażliwa była na destrukcyjne wpływy walki, toczonej w terenie nierównym, przez stronę przeciwna umiejętnie wykorzystywanym.

Jazda nieznająca wogóle ataku cwałem, spotykała nieprzyjacielską ogniem z pistoletów.

Niespełna 30-tysięczna pomoc orężna Rzeszy Niemieckiej była naogół dobrze wyposażona. Złożona z trzech mniej więcej równych części z Bawarii, z Saksonii i z Frankońsko - Szwabskiego obwodu pochodzących, przypominała pod względem taktycznym i organizacyjnym wojsko austrjackie: jazdy było 7.000, piechoty przeszło 20.000, dział 48 (58).

Na tym sprzymierzeńcu nie mógł jednak Król zrazu opierać dokładniejszych na przyszłość rachub, aczkolwiek bogata wiedza wojskowa nabyta przez studja, podróże i wojny ułatwiała mu zestrojenie wysiłków, podjętych przez różnorodne składniki. Wiedział tylko, iż żołnierz Rzeszy, w przeciwstawieniu do polskiego, jest wypoczęty, gdyż piechota niemiecka odbyła drogę przeważnie statkami. Nie można było natomiast ściśle ocenić stopnia rozporządzalności tych oddziałów i przydatności ich do walki z Turkiem. Młodziutki kurfürst bawarski np. zastrzegł sobie przezornie pełne prawo rozkazodawcze nad swoją odwykłą od wojny armią, ale był na razie jeszcze nieobecny. Pstrokacizna frankońsko - szwabska, odzwierciedlająca rozdrobnienie polityczne Niemiec i nadciągająca pod wodzą marszałka księcia Waldecka, wzbudzić mogła z przyczyn natury organizacyjnej wątpliwości. Kurfürst saski nie mógł dojść do zgody z cesarzem w przedmiocie sfinansowania wyprawy wojennej i w ustaleniu hierarchji wojskowej na najwyższych szczeblach koalicyjnej siły zbrojnej.

Sytuacja początkowo nie wróżyła pomyślnego rozwiązania kwestji podstawowej, tj. jedności dowództwa. Dopiero po zwycięstwie wojskowo-dyplomatycznem nad sojusznikami, będzie mógł Król polegać na posłusznem odtąd jego woli narzędziu walki.

Por. OTTON DĄBROWSKI.

Wnuczka i prawnuk Sobieskiego

Każdy, kto choć trochę zna historję polską, pamięta, że Jakób Sobieski, najstarszy syn Jana, uczestniczył w bitwie pod Wiedniem, a po zgonie ojca był kandydatem do korony, ale nie miał szans, ponieważ August Mocny uwięził go razem z bratem. Wiadomo również, że córka ukochana bohaterskiego króla, Teresa Kunegunda wyszła za elektora bawarskiego. Co pewien czas trafia ktoś na wiersz pożegnalny ojca do córki, kończący się jak by podpisem „Ociec, Jan Trzeci“ i, sądząc, że proch wynalazł, oznajmia w feljetonie, że to wiersz samego króla. Tymczasem jest to utwór współczesnego poety Chróścińskiego, włączony przezeń do przekładu (czy parafrazy) „Heroid“ Owidjusza. Ktoś tam coś jeszcze słyszał o królewiczu Karolu. O Konstantym, który jako mnich zmarł w Rzymie już prawie nikt nie wie. Ale przedewszystkiem mało znane są losy potomstwa Jakóba.

Królewicz Jakób na Śląsku

Ożenił on się z księżniczkę Palatyńsko-Neuburską Jadwigą, przez co został szwagrem cesarza niemieckiego i dwóch królów, hiszpańskiego i portugalskiego. Mieszkał na Śląsku w Oławie, którą cesarz oddał mu w posiadanie.

Z trzech jego córek, najmłodsza, Marja Klementyna, pochrześnica papieża Klemensa XI., liczyła w r. 1719 lat szesnaście. W tym to czasie zapragnął jej w małżeństwo Jakób Stuart, który tytułował się Jakóbem III., królem Anglji, Szkocji i Irlandji, ale którego większość ludności tych krajów nazywała „młodym pretendentem“ — dla odróżnienia od dawno już nie żyjącego wówczas ojca, Jakóba II., wypędzonego z W. Brytanji w r. 1688.

Stuartowie a Sobiescy

Nieszczęsny ród Stuartów, z którego koronowanych członków więcej zginęło gwałtowną, niż naturalną śmiercią od XIV w. panował w Szkocji, przez znaczną część XVII. w. także w Anglji. Utracił tron wskutek gorliwości katolickiej. Po straceniu w r. 1649 przez zwycięskie stronnictwo parlamentarno-purytańskie Karola I synowie jego schronili się na kontynent i tam wrócili do wiary rzymskiej. Po odzyskaniu korony Karol II. ukrywał swą wiarę. Brat jego, Jakób II., przyznawał się do niej i usiłował narzucić ją poddanym, przez co nowa rewolucja pozbawiła go tronu. Panowały tedy kolejno dwie córki Jakóba, który rezydował we Francji i budował swe nadzieje na jej orężu i wierności Szkocji, szczególnie katolickich klanów górskich

Wynik hiszpańskiej wojny sukcesyjnej rozwiał te nadzieje. Anglicy powołali na tron rodzinę hanowerską, powstanie szkockie w r. 1715 stłumiono. Mimo to syn Jakóba, ów „młody pretendent“ nie tracił nadziei i miał poparcie w katolickich krajach Europy.

Był między prastarym rodem Stuartów a młodym Sobieskich pewna analogja — widmo korony w przeszłości, zwodnicze nadzieje na przyszłość, świetne koligacje, a przedewszystkiem gorące przywiązanie do katolicyzmu.

Wykradzenie

Jakób III. nie widział nigdy Marji Klementyny, ale słyszał wiele o jej piękności i pobożności. Istnieje korespondencja, która dowodzi, jak był oczarowany. Zawarto z posłem pretendenta intercyzę, ale nagle wyłoniły się trudności. Gdy narzeczona wybrała się z matką do Włoch, gdzie przebywał oblubieniec, zatrzymano je z rozkazu cesarza w Insbruku i przez siedem miesięcy trzymano pod strażą. Spowodowały to zawikłania europejskie i interwencja Anglji.

Przeszkody społęgowały tylko romantyczną miłość Jakóba. Postanowił on wykraść Klementynę i powierzył to przedsięwzięcie swemu dworzaninowi Vaughanowi, który dobrał sobie do pomocy paru Irlandczyków, służących w wojsku francuskiem. Do spisku należała i żona jednego z nich, a w samym Insbruku bawił, czyniąc przygotowania, inny spiskowiec Chateaudoux. Śmiała gromadka przybyła różnemi drogami i w przebraniach do stolicy Tyrolu. Był to kwiecień, ale panował jeszcze zima. Gwałtowna śnieżyca ułatwiła Klementynie wydostanie się ze źle strzeżonego pałacyku. Na jej miejscu pozostała hojnie wynagrodzona, ale niezupełnie w plan wtajemniczona pokojówka kapitanowej Misset. Wśród różnych trudności i niewygód dotarto w dwa dni do granicy włoskiej, a wykradziona okazała w tym czasie znaczną odwagę i siłę woli. Po przybyciu do Państwa Kościelnego nastąpił ślub — na razie *per procura*, gdyż Jakóba powołała właśnie możliwość wojny hiszpańsko-angielskiej na półwyspie Pirenejski. Pan młody wrócił jednak wkrótce i powtórzono obrzęd, poczem para zamieszkała w oddanym jej przez papieża pałacu Sant'Apostoli.

Na pamiątkę oswobodzenia Klementyny wybito medal z jej popiersiem na jednej stronie, z rydwanem zaprzężonym w cztery konie na drugiej. Napisy opiewały: *Clementina, Magnae Britanniae, Franciae, Scotiae et Hiberniae* (Irlandji) *regina; Fortunam causamque sequor* i *Deceptis custodibus.*

Pożycie małżeńskie

Bardzo upragnione małżeństwa nie zawsze bywają szczęśliwe. Jakób i Klementyna ścierali się ostro o wychowanie dzieci! Pretendent skłaniał się ku protestantyzmowi w nadziei, że tym kluczem któryś z jego dwóch synów otworzy sobie wrota pałacu Saint James. Wnuczka zbawcy chrześcijaństwa stała twardo przy wierze ojców i przeprowadziła swą wolę, lecz odsuwała się coraz bardziej od męża. Zamieszkała w klasztorze i klasztorne prowadziła życie. Umarła młodo, licząc zaledwie lat 33, w r. 1735 — *in odore sanctitatis.*

Karol Edward

Starszy z jej synów, ks. Karol Edward, odziedziczył widocznie po Sobieskich wielki talent wojskowy, nieustraszoną odwagę i niezachwianą wierność katolicyzmowi. Kto wie, czy za tę wierność nie zapłacił drogo podczas ostatniego powstania szkockiego (1745—6) Był to czas wojny francusko-angielskiej i Ludwik XV. dał Edwardowi 7000 wojska na odzyskanie tronu dla żyjącego jeszcze „młodego pretendenta“. Flotę rozproszyła burza. Z mniejszemi zasobami wyruszył książę po raz drugi, aby wylądować na wysepce Moidart, jednej z Hebryd — z siedmiu towarzyszami i skromnym zapasem broni oraz amunicji. Rycerska postawa, szlachetne obejście i wymowa 25-letniego księcia porwała niechętne początkowo klany górskie. Rosły jego siły, zajęto stolicę szkocką i rozbito w puch regularne wojsko rządowe. Droga do Anglii stała otworem.

O dziesięć dni drogi od Londynu

Pochód Szkotów na południe zaskoczył Jerzego II., uwikłanego w wojnę na kontynencie. Gotowano się do obrony, a Karol Edward posuwał się coraz dalej. Zajął Derby i już tylko

dziesięć dni marszu dzieliło go od Londynu. Niestety wojska jego nie rosły, a nawet topniały wskutek dezercji niesfornych górali, pragnących łupy odnieść do domu. W każdym razie Karol Edward miał przy sobie 5000 ludzi i był o jeden dzień bliżej stolicy, niż armia księcia Cumberland, którą dzięki szczęśliwym manewrom zostawił w tyle. Pod Finchley stało drugie wojsko królewskie, liczebnie silniejsze, ale źle usposobione. W samym Londynie panował popłoch na giełdzie, a król gotował się do ucieczki. W tych okolicznościach, nieustraszony książę, który z siedmiu ludźmi wybrał się był na podbój trzech królestw, niespodziewanie rozpoczął odwrót...

Z tą chwilą sprawa była przegrana. Jeszcze jedno świetne zwycięstwo, potem krwawa klęska pod Culloden, pięć miesięcy tułania się i ukrywania (nikt nie złakomił się na 30.000 funtów, które warta była głowa księcia) — i blisko czterdzieści lat innej tułaczki wydalanego i wypraszanego z jednego kraju po drugim króla bez ziemi, a w rezultacie nałóg i zgon w opuszczeniu — oto dalsze losy Karola Edwarda.

Msza kosztowała królewstwo

Dlaczego Karol Edward, wódz równie śmiały, jak jego polski pradziad, nawykły, jak on, liczyć wrogów dopiero po zwycięstwie, cofnął się z Derby? Zazwyczaj mówi się o słabości liczebnej, o złym nastroju górali, o obojętności ludu angielskiego. Lecz jest i wytłumaczenie inne. Wystąpił z niem niedawno w jednym z tygodników angielskich Hugh des Blacam, starannie analizując współczesne pamiętniki i źródła. Oto jeden z urywków, jakie przytacza:

Wieczorem w środę 4 grudnia książę wszedł ze swą małą armją do Derby i natychmiast posłano po klucze od kościoła Wszystkich Świętych, kazano dzwonnikom uderzyć w dzwony, a kapelani wojskowi odprawili nieszpory po łacinie. Następnego rana przy wielkim ołtarzu odprawiono uroczystą mszę św.

Zdaje się, że ta msza była przyczyną nieszczęsnej decyzji. Odwrót rozpoczęto po radzie wojennej, a zasiadający w niej lordowie szkoccy byli prawie bez wyjątku protestantami z potężnym, zamkniętym w sobie Murray'em na czele. Poprzedniego dnia zastanawiano się, z której strony wejść do Londynu — teraz, po dwunastu godzinach, wszystko się zmieniło. Cały splot okoliczności przemawia za tem, że doszło do rozłamu między księciem a jego sztabem właśnie na tle jego żarliwości katolickiej, że lordowie zlękli się jego przyszłego stosunku od kwestyj religijnych.

Hipoteza Blacama nie może na razie przekonać napewne, ale ma dużo prawdopodobieństwa. W każdym razie Karol Edward i pod tym względem był prawdziwym prawnukiem zwycięzcy z pod Wiednia.

Władysław Tarnawski

Jak Lwów święcił w roku 1848
rocznicę odsieczy wiedeńskiej

Przeglądając roczniki dzienników lwowskich z roku 1848 ma się początkowo wrażenie, że w tym pamiętnym roku „wiosny narodów" austrjacki Lwów spał, że nic się tam nie działo godnego uwagi, — chociaż naokoło zrywała się i szalała burza... Zaledwie czasem krótkie, parowierszowe wzmianki o ekscesach lub wzburzeniu stacjonowanych we Lwowie węgierskich żołnierzy... Pozatem „*miasto jest spokojne*", pisze „Gazeta Powszechna", dodając zarazem: „*Zresztą szybkim w tył idziemy krokiem; już drukować nie wolno wszystkiego, a dziś nawet i czytać!*"

Lwów nie zaniedbywał jednak żadnej okazji, by zamanifestować swą polskość i patrjotyzm. Taką okazją była też i przypadająca we wrześniu 165-ta rocznica Odsieczy Wiedeńskiej.

Dnia 9 września 1848 pojawiły się na murach miasta duże afisze, zapowiadające

OBCHÓD RELIGIJNO NARODOWY 165 rocznicy oswobodzenia Wiednia od Turków dnia 12 września 1863 r. PRZEZ JANA III. SOBIESKIEGO, Króla Polskiego, W. X. Litewskiego, Ruskiego, Pruskiego, Mazowieckiego, Żmudzkiego, Inflandzkiego itd itd.

W afiszu tym czytamy:

„Komisja umieszczenia i zaopatrzenia braci z tułactwa przybyłych, nie może godniejszym sposobem powitać ich na ziemi ojczystej, jak urządzając po całym kraju w dniu 17 bm. obchód uroczysty religijno-narodowy na pamiątkę oswobodzenia Wiednia przez króla naszego Jana III. na dniu 12 września 1683 roku.

Zaiste zdarzenie to wiekopomne, godne jest obchodu narodowego, godne chwili w której możemy powitać braci naszych po 17-letniej tęsknej wędrówce do kraju wracających".

Po opisaniu historji oblężenia i odsieczy Wiednia następuje

PROGRAM OBCHODU

I. Dnia 17 w Niedzielę o godzinie 9 zrana zgromadzą się wszystkie kompanie Gwardji narodowej, tudzież cechy i bractwa z chorągwiami i udadzą się w uroczystym pochodzie do swych kościołów i cerkwi parafjalnych.

II. O godzinie 10 zrana odprawi się Msza śpiewana, z wystawieniem N. Sakramentu, procesją i suplikacjami w czasie której plebani w kazaniu stosownem do obchodu uroczystości dnia tego, opowiedzą poprostu zdarzenie to dziejowe, które w skutkach swych dla chrześcijaństwa było tak zbawiennem i zachęcą lud do podziękowania Panu Bogu za to dobrodziejstwo. W czasie Ewangelji, podniesienia i błogosławieństwa, gdzie są moździeże dane będą trzykrotne wystrzały.

III. Najpoważniejsza para w parafji zajmie się w dniu tym zbieraniem dobrowolnych składek, i takowe przez Rady narodowe obwodowe odeszle do wydziału finansowego Rady narodowej centralnej we Lwowie, na rzecz opatrzenia Braci przychodźców.

IV. We Lwowie Gwardja narodowa wystąpi w całej paradzie i od godziny 10 do 12 stać będzie na rynku pod bronią i oddawać honory stosowne do obchodu. Popołudniu od godz. 2 odbędzie się festyn ludu na Wysokim Zamku, skąd o godzinie 7 przy pochodniach i z muzyką cały orszak ludu uda się świetnym pochodem w rynek do domu niegdyś Sobieskich, skąd znowu wróci na zupełnie oświetlony Wysoki Zamek — gdzie sztuczny ogień przedstawionym zostanie.

V. Dzień 12 września będzie dniem uroczystym na wieczne czasy w całej Polsce, i co roku podobnież obchodzony.

Z Komisji umieszczenia i opatrzenia przybyłych Braci z tułactwa.

We Lwowie, dnia 8 września 1848 r.

Prezydujący
Robert Ruchenbauer.

Ludwik Monasterski
sekretarz

L. 1494

Rada Narodowa Centralna pochwala obchód ten religijno-narodowy podług powyższego programu.

We Lwowie, dnia 9 września 1848.

Prezydujący
Alexander Batowski.

Apolinary Stokowski
sekretarz.

Niestety — program ten uległ w ostatniej chwili zmianie. Wpłynęło na to stanowisko komendanta gwardji narodowej, Wybranowskiego, który zabronił gwardji brać udział w projektowanym pochodzie i „oddawać honory stosowne".

Na zmianę programu wpłynęła też po części i fatalna pogoda: dokuczliwy, zimny deszcz ze śniegiem.

O zmianie tej zawiadomił mieszkańców Lwowa rozplakatowany na ulicach

OPIS POSZCZEGÓŁOWY

obchodu religijno-narodowego 165-tej rocznicy oswobodzenia Wiednia od Turków przez JANA III. SOBIESKIEGO króla Polskiego, która przypada na dniu 12 września, odroczona zaś do pierwszej niedzieli, to jest na 17 września, w którym to dniu obchód ten następującym odbędzie się porządkiem.

Po wyszczególnieniu czterech głównych punktów obchodu następuje znamienna uwaga:

TAK BYĆ MIAŁO!!!

Dla różnych zaś przeszkód i względów punkt czwarty powyższego programu odmienia się w ten sposób:

IV. Od godziny 4 z południa otwarta będzie w starym teatrze sala niegdyś redutowa, gdzie za opłatą 10 kr. m. k. wchodzący, przy okazałym oświetleniu i przygrywającej muzyce, oraz rozmaicie urządzonych zabawach wyżwspomnioną pyramidę kolosalną również oświetloną zobaczą. Po godzinie 8 wieczorem nastąpi wyż rzeczony pochód z pochodniami i muzyką od starego teatru do niegdyś domu Sobieskich na rynku; po oddaniu tamże pamięci bohatera cześci nastąpi w sali dawnej redutowej za wstępem po 20 kr. m. k. zabawa wieczorna.

Sztuczne zaś ognie spalone zostaną we wtorek w ogrodzie Pojezuickim i osobnemi afiszami ogłoszone będą.

Jak zaś obchód wypadł, o tem pisze „Gazeta Narodowa" z dnia 19-go września 1848 w słowach następujących:

„Mieszkańcy rozmaitego stanu, płci i wyznania, nie zważając na deszcz i śnieg, które rzęsisto padały, zgromadzili się wieczorem na placu akademickim, by uczcić 165-tą rocznicę wiekopomnego zwycięstwa Polaków nad Turkami pod Wiedniem. Ten wspaniały orszak ruszył stamtąd, i udał się poważnie na rynek, przed dom starożytny Sobieskich z pochodniami w ręku i muzyką gwardji narodowej na czele, zachwycając całe miasto piękną harmonią patryotycznych hymnów i wiwatów: „Jeszcze Polska nie zginęła! Niech żyje Polska!"

Notatkę tę zakończyła „Gazeta Narodowa" taką uwagą:

Ten dzień pozostanie pamiętnym i przypominać powinien Austryakom, że Polska ich ocaliła od niechybnej zagłady, a dzisiaj pozostaje przez nich rozszarpaną i ujarzmioną."

Tak oto obchodził Lwów, po 76-letniej przymusowej przerwie, rocznicę Odsieczy Wiedeńskiej. (R.)

Ze świata książki

J. N. Kłosowski: „Tańcząca Karczma", powieść. (Wydaw. literacko-naukowe, Kraków. 1933).

Nie możemy uskarżać się na nadmiar młodych talentów pisarskich. To też dziś, — przy takiem rozpanoszeniu się literatury przekładowej, — godzi się poświęcić parę słów każdej pojawiającej się nowości na terenie naszej rodzimej beletrystyki.

„Tańcząca Karczma" nie może być uważaną za dzieło zupełnie dojrzałego i skrystalizowanego talentu. Tem niemniej jednak powieść to ciekawa, pozwalająca rokować dobrze o dalszym rozwoju bezsprzecznie zdolnego i mającego coś do powiedzenia autora.

Talent to wybitnie narracyjny, z zacięciem niemal epickiem. Opisy przyrody, oryginalne, zwarte, a mocne, dowodzą, że Kłosowski zżył się z przyrodą, że ją kocha i odczuwa na swój swoisty sposób. Język giętki, bogaty, łatwość obrazowania, — to niezaprzeczone zalety, i to zalety duże.

Razi natomiast niepotrzebna emfaza i patos, połączony miejscami z przesadnym realizmem, zupełnie zbytecznym, bo nie związanym ani organicznie ani logicznie z właściwym tokiem akcji.

Temat sam, — przeżycia młodego chłopaka wiejskiego, który idzie szukać w stolicy sławy i fortuny, — opracowany dość chaotycznie, bez koniecznego psychologicznego pogłębienia. Wydaje nam się, że autor nie potrafił wyposażyć swego bohatera w jakieś wybitniejsze indywidualne cechy, — zalety czy choćby wady, — skutkiem czego cała opowieść zmienia się w kronikę przeżyć i wydarzeń zupełnie przypadkowych niczem należycie ani logicznie nieumotywowanych.

Czesław Janczarski: Akwarela, poezje. (Księgarnia J. Michałowicz i S. Zieliński, Równe, 1933).

Starannie wydany tomik poezyj, przeważnie osobistych impresyj, podanych w niewyszukanej, lecz miłej formie.

Slavische Rundschau. Najnowszy, wrześniowy zeszyt tego wydawnictwa przynosi rozprawę O. Schürera o rzeźbie najwybitniejszego dziś artysty jugosłowiańskiego, Meštrovica, w związku z wystawą jego dzieł w Pradze.

Dużo ciekawych informacyj i uwag zawierają artykuły Eug. Zamiatina „Moskwa—Leningrad", oraz Tad. Lehr-Spławińskiego. „Polnische Sprachpflege in Vergangenheit und Gegenwart". O współczesnej prozie czeskiej pisze Eug. Rippl. Bogatej i urozmaiconej treści dopełniają notatki z zakresu literatur słowiańskich i starannie zestawiona bibljografja.

(Kr.)

Paryż nie leży nad Sekwaną!

Pewien francuski profesor geografji wystąpił niedawno z teorją, że Paryż leży nie nad Sekwaną, lecz nad Jonną. Dotychczas mówiło się, że rzeka ta wpada do Sekwany pod Montereau, w odległości kilkunastu kilometrów od stolicy. Lecz przedtem połączeniem się obu rzek Jonna jest głębsza i szersza od Sekwany, jej poprzedni bieg jest dłuższy, wody jej osiągają wyższe punkty w razie wylewu. A zatem rzeka, powstała z połączenia się tamtych dwóch, powinna od Montereau do morza nosić nazwę Yonny — i nad Yonną, nie nad Sekwaną leży Paryż!

Wpływy wschodnie w Polsce

Drogi przenikania wpływów wschodnich do Polski. — Fala wschodnia za pierwszych Jagiellonów. — Powstrzymują ją wpływy zachodnie na dworze Zygmunta Starego. — Powrót w strojach do mody węgiersko-tureckiej. — Przewaga wpływów tureckich. — Zalew orjentalizmu po zwycięstwach pod Chocimem i Wiedniem

Polska, przyjmując chrześcijaństwo, weszła tem samem do wielkiej rodziny narodów zachodnio-europejskich. Wraz ze światłem wiary szły ku niej prądy zachodnie, pod wpływem których kraj nasz dźwigał się na coraz wyższe stopnie kulturalne. Jednakże to działanie Zachodu nie było jedyne i ciągłe. Polska dzięki swemu położeniu geograficznemu, siłą rzeczy musiała ulegać wpływom kultur wschodnich, które wycisnęły swoje piętno zarówno na psychice jak i zwyczajach naszych.

Wpływy wschodnie zaczęły dostawać się do życia polskiego w w. XV., a szły kilkoma drogami równocześnie. Przedewszystkiem przyniosła je ze sobą dynastia Jagiellońska, a szczególnie trzej jej królowie: Jagiełło, Kazimierz i Aleksander, ich dworzanie oraz żony (Sońka Holszańska i Helena Iwanówna). Tą drogą zetknęła się Polska z językiem ruskim, malarstwem wschodniem itp.

Drugim ważnym momentem ułatwiającym penetrację pierwiastków wschodnich, była ustawiczna styczność z Rusinami i Tatarami, wojny z Moskwą i Turcją, oraz wyprawy do Węgier i Wołoszy. Żołnierz polski, broniąc swej ojczyzny i rozszerzając jej granice na Wschodzie, staje się doniosłym czynnikiem ułatwiającym przenikanie do kraju mody wschodniej.

Wreszcie i stosunki handlowe, w których, dzięki swemu położeniu geograficznemu, Polska stała się pośrednikiem między Wschodem i Zachodem, wywarły bardzo silny wpływ na orjentalizację strojów i obyczajów w Polsce.

O wschodnich przywarach i zwyczajach Polaków w Polsce XV-wiecznej czytamy liczne wzmianki zarówno w literaturze zagranicznej jak i krajowej.

Gabrjel biskup Agrji (1474), pisząc o Polce podkreśla, że w zbytku swoim jest bardzo zbliżona ku Wschodowi.

Kallimach, jako wybitnie wschodni rys w stroju polskim podkreśla podobieństwo szat męskich do kobiecych. Wyglądu wchodniego nadawały Polakom długie płaty zbytkownego materjału, jaskrawej barwy, przeładowane ozdobami i klejnotami oraz długi włos, spleciony w loki.

Długosz, narzekając około r. 1466 na zepsucie obyczajów, pisze w ten sposób: „włosy sczesywać na dół i skręcać je w loki, strój upiększać na wzór elegancji kobiecej, fryzurę w domu i poza domem, w nocy i w dzień, w czepce zawijać, zniewieściałością ciała zawodniczyć z kobietami, a nawet prześcigać je puklami spuszczonemi z fryzury, piersi owijać płatami błyszczących materji, co ledwie kobietom przystało" — oto charakterystyczne znamiona owego czasu, niewątpliwie mające swe źródło na Wschodzie, a którym towarzyszą równocześnie wszystkie objawy „szerokiej natury" wschodniej „nie uznającej hamulców prawa, przepisów, obyczaju, wewnętrznego umiarkowania". Na zniewieściałość wschodniej mody narzekał w swojem kazaniu Maciej z Raciąża (1475), potępiając zaplatanie włosów „żegadłem", perfumowanie szat i trzymanie w ustach wonności. Ze Wschodu przyszedł również zwyczaj obdarowywania posłów zagranicznych kosztownemi szatami, w które ubrani przychodzili do króla na posłuchanie.

Prof. Stanisław Kot, przytaczając powyższe fakty, zaopatruje je następującą uwagą:

„Nie mamy podstawy do uogólniania wymienionych wyżej rysów i do twierdzenia, jakoby one nadawały stanowcze piętno ówczesnemu życiu polskiemu, ale świadczą one dość wyraźnie, żeł Polska XV w. podatna była na oddziaływanie wschodu: wpływ ten szedłby głębiej i wszechstronniej, gdyby w XVI w. nie zahamowało go masowe zbliżenie się ku Zachodowi."

Ta pierwsza fala mody wschodniej, która uderzyła o Polskę bezpośrednio po wojnie 13-letniej, zahamowana została z początkiem XVI w. za czasów panowania Zygmunta Starego. Stało się to przedewszystkiem dzięki wpływom włoskim na dworze królewskim.

Wyrazem odwrócenia się od Wschodu było porzucenie długich opiętych szat i długich spętanych w kędziory włosów, a ubieranie się i przystrajanie na modłę zachodnio-europejską. Jednakże moda zachodnia, szczególnie w strojach, nie zwyciężyła. Jeszcze przed końcem życia Zygmunta Starego, a zwłaszcza za panowania Zygmunta Augusta daje się zauważyć znowu wzrost wpływów wschodnich, które, jeżeli chodzi o stroje, odniosły ostateczne zwycięstwo nad modą zachodnią.

Wyraz oburzeniu na ten ponowny nawrót do wpływów wschodnich daje w r. 1515 Adam Lubelczyk, kanonik lwowski. Opowiada on, że prawdziwy Turek, bawiący we Lwowie, oświadczył pewnemu dygnitarzowi, że na ziemi polskiej bawi już wielka ilość Turków, bo mianowicie Polacy „wraz z całą postacią ciała poczęli nosić napół ogolone głowy, obnażone aż po czubek i całym obyczajem zewnętrznym do nas się przystosowywać". Istotnie w okresie tym, po krótkiej przewadze mody zachodniej w latach 1512 do 1540, moda wschodnia zaczęła się gwałtownie w w Polsce szerzyć, a zwłaszcza Ruś stała się bardzo podatna na wpływy tureckie.

To oscylowanie pomiędzy modą zachodnią i wschodnią, jest najwymowniejszym dowodem, że w okresie tym nie istniał jeszcze wyraźny typ stroju polskiego. Potwierdza to zresztą następujący cytat z „Poprawy Rzczplitej" (1551) Modrzewskiego: „W jednym domu jedni ubierają się po niemiecku, drudzy po włosku, drudzy po turecku.... a to jeszcze dziwniej, iż kto chodziwszy po ranu w kapie włoskiej, tenże zasię wieczór chodzi w tureckiej fałszurze, w kołpaku, w półbutkach czerwonych lub białych".

Ostatecznie zwycięstwo, jeśli chodzi o stroje, odniosła moda wschodnia, zbytkowna i krzykliwa, idąca przez Węgry i wprost z Turcji. Strojom tym towarzyszy szerzenie się podgolonych głów i „wysmukniętych" czupryn. Pod koniec w. XVI ustala się ostatecznie t. zw. ubiór polski, noszony przez ogół szlachecki, lecz jest to ubiór na modłę węgiersko-turecką. Przetrwał on z nieznacznemi odmianami do czasów rozbiorowych.

Ze wszystkich ośrodków wschodnich najsilniejszy wpływ na zwyczaje, stroje i broń polską wywarło niewątpliwie państwo Ottomańskie z całą swoją potęgą wojskową i z całem bogactwem form zewnętrznych, przemawiających do imaginacji swoją malowniczą świetnością.

O niezmiernych bogactwach panów tureckich krążyły po Polsce najfantastyczniejsze opowieści, a Konstantynopol na Polakach, którzy doń często przyjeżdżali w rozmaitych misjach dyplomatycznych, wywierał olbrzymie wrażenie. Szeroko rozbudowane miasto, pełne bogatych pałaców i wspaniałych meczetów, bazary, wystawiające bogaty towar z różnych stron wielkiego imperjum, wreszcie imponujące położenie stolicy musiały zadziwiać Polaków.

Szeroka fala mody tureckiej, która znów silnie przygasła za Wazów, hołdujących modzie szwedzkiej, rozlała się po Polsce w w. XVII i na początku XVIII. Władysław Łoziński twierdzi: „że ów wpływ wschodni na kostjumy polskie, o których się tak dużo mówi, dopiero bardzo późno, mianowicie po kampanjach Króla Jana III. objawił się wyraźniej i że więcej go było z końcem w. XVII i na początku XVIII niż kiedykolwiek przedtem".

Zauważyć tu wypada, że wpływ wschodni, a szczególnie turecki wycisnął swoje piętno głównie na kostjumach męskich i na broni, natomiast nie uległa mu nigdy moda kobieca.

Orjentalizacja Polski za Sobieskiego była najsilniejszą i najjaskrawiej wystąpiła, a stało się wskutek zasypania olbrzymim łupem broni, rzędów, szat, sreber, kobierców, naczyń i sprzętów tureckich, które ozdobiły nietylko zamki wielkopańskie, ale i siedziby drobnoszlacheckie, nadając im wybitne piętno Wschodu. „Zwyciężona i upokorzona Turcja — pisze Władysław Łoziński — wywarła w przeciągu kilku lat więcej wpływu na fizjognomję obyczajową szlachty, aniżeli przez setki lat wywierała groźna i zwycięska. Wiktorje pod Chocimem i Wiedniem dokonały tej zewnętrznej orjentalizacji, rzec można z dziś na jutro".

Sam król Jan III. był niezwykle rozmiłowany w kostjumach, broni i ozdobach wschodnich, przenosząc je ponad wszystkie zachodnie wyroby tego ro-

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Neoromantyk

(Hugh Seymour Walpole)

(Dokończenie)

GRUPA ROSYJSKA

Przez jakiś czas zdaje się Walpole'owi, że swe ideały znalazł w Rosji. Uwielbieniem dla niej tętni „Zielone zwierciadło" (w którem Rosja zresztą jest tylko odległem widmem). „Czarny las" (1916) osnuty jest na własnych przeżyciach Walpole'a jako sanitarjusza - ochotnika podczas kampanji roku 1915 w Małopolsce Wschodniej. Obraz wojny nie odznacza się kompletnością — wiadomo, że sanitarjusz naraża się na śmierć, ale nie zabija. Zresztą punkt ciężkości spoczywa na mistycznym pojedynku między dwiema parami mężczyzn — o to, kto pierwszy zginie, aby połączyć się z ukochaną kobietą, która przedtem była przedmiotem rywalizacji. W obu wypadkach stają naprzeciw siebie człowiek silny i słaby, mądry i naiwny, praktyczny i niedołężny, kochany i niekochany. Zwycięstwo za grobem będzie należało do słabych. Tu mistycyzm Walpole'a osiąga punkt szczytowy.

Rewolucja rozwiała jego rosyjskie [illegible]. Z męską szczerością przyznaje on na początku „Tajemniczego miasta" (1919), że nic nie wiedział o Rosji i rzeczywiście daje tu jej obraz o wiele prawdziwszy — może nierówny, ale w pewnych momentach olśniewający subtelnością obserwacji. Rzecz dzieje się w Petrogradzie przed wybuchem i podczas rewolucji. Po mistrzowsku zużytkowane są efekty wzrokowe. Miasto, które autor znał dobrze i odczuwał, stapia się poprostu w jedną całość z akcją — historyczną i miłosną. Ta druga ma znów pod koniec charakter mistyczny. Siemionow, który w poprzedniej powieści przegrał był ów „pojedynek" z Anglikiem Trenchardem, dręczy tu słabego i niezrównoważonego człowieka, ażeby zostać przez niego zamordowanym. Pragnie połączyć się z ukochaną, a za dumny jest, aby popełnić samobójstwo. [1])

POWIEŚCI OBYCZAJOWE.

Po przygodach wschodniomałopolskich i rosyjskich Walpole przez jakiś czas jeszcze pracował w londyńskiem ministerstwie spraw zagranicznych [2]), poczem niepodzielnie poświęcił się literaturze.

Powiedziałem, że celuje on w rysowaniu postaci kobiecych. Najświetniej wypadły może dwie, będące równocześnie symbolami starej, wiktorjańskiej Anglji. W „Księżnej Wrexe" (1915) jest to sędziwa arystokratka, terroryzująca samym prestiżem otoczenie, które po jej zgonie odetchnie pełną piersią: w „Zielonem zwierciedle" (r. 1918) Mrs Trenchard, napozór czuła matka, w gruncie rzeczy raczej egoistka, którąby chciała bliskich uszczęśliwić własną metodą. Inaczej „niechaj cierpią i przepadną!" Wątłą akcję stanowi jedyna w swoim rodzaju wojna [illegible] Marka z tą teściową in spe. W pewnej chwili córka buntuje się przeciw tyranji matki i zmusza chwiejnego narzeczonego do wspólnej ucieczki. Przebaczenia nie uzyska nigdy. Po mistrzowsku oddana tu jest atmosfera wiktorjańskiego domu ziemiańskiego, w którym każdy zosobna jest egoistą, a wszyscy razem tworzą zbiorowy organizm egoistyczny. Są pewne błędy — np. awantura, jaką Mark robi najstarszemu z Trenchardów. Za ich źródło należy uznać silenie się Walpole'a na humor który jest temu romantycznemu sensatowi obcy. Z tem wszystkiem prawda psychologiczna w charakter-

---

[1]) Obie „rosyjskie" powieści Walpole'a są tłumaczone na język polski. „Tajemnicze miasto" wyszło w dodatku tygodniowym „Gazety Warszawskiej", „Czarny las" wychodzi w tej samej formie w „ABC".

[2]) Jako jego funkcjonarjusz towarzyszył Romanowi Dmowskiemu podczas jego bytności na froncie zachodnim.

dzaju. Był to najwybitniejszy, a zarazem już ostatni reprezentant sarmacko-wschodniego obyczaju w ubiorze i broni. Jak daleko było posunięte to orjentalne amatorstwo u pogromcy Turków, tego najlepszym dowodem fakt, że „nawet w swoim umiłowanym Jaworowie, takim sielskim i niepokaźnym..... nawet w tej z szlachecka skromnej rezydencii ubierał się Sobieski z wschodnim przepychem... Abbé widywał go tam zawsze w żupanie złotolitym, w sobolowym kontuszu i wczapce również sobolowej, z osypaną djamentami szablą przy boku i z niemniej bogato drogiemi kamieniami sadzonym czekanem w reku, a klejnotów miewał zawsze na sobie na 200.000 talarów“.

Obok broni i szat, służba względnie niewolnicy z wojen tureckich nadawali siedzibom szlacheckim wygląd orjentalny, a zamiłowanie, czy też przywiązanie do tureckiej służby obrazuje fakt, że w w. XVIII., gdy zaczęło wymierać pokolenie jeńców z wojen Sobieskiego, przebierano rodzimą służbe w strój wschodni i nadawano jej tureckie imiona. Najwiekszy pseudo - orjentalny dwór miał Czartoryski w Puławach, gdzie pokojowcy występowali w tatarskich strojach, a przebrani Arabowie czy Turcy prowadzili stado wielbłądów.

Prądy orjentalne zjawiają się w literaturze polskiej bardzo późno, a na podkreślenie zasługuje fakt, że mimo całe wielkie zamiłowanie do orjentalizmu, znajomość języków muzułmańskiego wschodu była w Polsce bardzo niewielka a polskie legacje posługiwały się zazwyczaj tłumaczami, rekrutującymi się z pośród Tatarów litewskich i Ormian. Na głębsze wartości wschodniej kultury, na ich strone artystyczną zwrócił dopiero w Polsce uwagę romantyzm.

Żywiołowa fala wpływów wschodnich, która szeroko rozlała się po Polsce za czasów Sobieskiego była ostatnia. Po jej przejściu, a pod wpływem zacieśnienia się coraz silniejszych węzłów z Zachodem, a szczególnie z Francją, wpływy orjentalne w Polsce ulegają zanikowi. (s.)

Z szumem husarskich skrzydeł

Wiedeńska wiktorja wsławiła w całej Europie imię naszej husarji, która miała już za sobą cały długi szereg wspaniałych rycerskich sukcesów. Pod Wiedniem właśnie doszła husarja do apogeum swej sławy, — ustępując następnie zwolna miejsca innym rodzajom broni, w związku z ogólną ewolucją w prowadzeniu wojen.

Kłuszyn, Chocim, Trzciana, Smoleńsk, Cudnów, — pozostaną jednak na zawsze świetnemi kartami w historji naszej husarji, która dokazywała cudów męstwa i odwagi.

Bo też był to swoisty, jedyny w całym świecie rodzaj broni, owa skrzydlata husarja, określana jako „gravior armatura“ w odróżnieniu od lekkich chorągwi pancernych, tzw. „levis armatura“.

* * *

Nazwa „husarja“ wywodzi się od „gusara“ czyli husara, którem to mianem określano w wieku XIV rycerza konnego w Serbji, za panowania cara Duszana.

W Polsce pojawia się husarja około roku 1500, — przyczem nietylko nazwa, ale i strój i uzbrojenie zapożyczono początkowo ze wzorów węgiersko - serbskich.

Rynsztunek husarza stanowiło: żelazny pancerz z przyłbicą lub szyszakiem, tarcza i kopja, zwana zazwyczaj „drzewcem“. Kopje te, początkowo bardzo długie, za panowania Batorego skrócono do ośmiu łokci, — równocześnie też uzupełniono rynsztunek husarza pistoletami.

Wedle opisów współczesnych, husarze w wieku XVII. posiadali: żelazne kaftany, szyszak, zarękawie, kopję długą na 7 i pół łokcia, u lewego boku krzywą szablę, w siodle pod lewą nogą rapir czyli koncerz, z przodu siodła jeden lub dwa pistolety.

Koncerz ów, prosty, pięć stóp długi, miał rękojeść płasko zakończoną. Uzupełnieniem uzbrojenia był zazwyczaj obuch czyli czekan, służący do rozbijania zbroi przeciwnika.

Główna jednak, najgroźniejsza broń stanowiła kopja, do 16 stóp długa, na tyleu żelazem uzbrojona. U szczytu jej wisiał proporzec kitajkowy, kilka stóp długi, w tych samych barwach, co chorągiew pułkowa.

Co jednak dodawało szczególnej wspaniałości i grozy polskiej husarji, to owe wspaniałe skrzydła, sprawiające w pędzie „nieznośny szum“. Skrzydła te przytwierdzano albo na plecach do zbroi, albo z tyłu do siodła.

Używano do tego celu skrzydeł orlich lub sępich, choć kroniki wspominają też o wspaniałych skrzydłach srebrnych, zwłaszcza podczas wielkich uroczystości.

Stroju dopełniały wspaniałe skóry tygrysie, lamparcie lub niedźwiedzie, zarzucone na zbroję, podbite karmazynowym adamaszkiem, a spięte pod szyją złotemi klamrami.

* * *

Nie mniej wspaniale prezentowały się i konie husarji. — konie specjalnie starannie dobierane, których cena — jak podają współcześni — dochodziła nierzadko do tysiąca i półtora tysiąca czerwonych złotych.

Konie te ustrojone były we wspaniały rząd, wysadzany drogiemi kamieniami, w czarne lub strusie pióra na łbie i ozdobne buńczuki pod szyją, w oprawie ozdobionej srebrną lub złotą siatką.

* * *

Husarja już samem pojawieniem się robiła potężne wrażenie, siejąc popłoch wśród wroga. Zadanie jej polegało na gwałtownem uderzeniu i przełamaniu szeregów wroga swym potężnym impetem.

Oceniał należycie wielką rolę husarji Batory, który starał się utworzyć z niej najliczniejsza, czołową część jazdy polskiej.

Husarz jednak, jak opowiadają współcześni kronikarze, pełnił w razie potrzeby każdą służbę: „był i kozakiem i rajtarem i piechotnym nawet“, kiedy potrzeba tego wymagała.

A kiedy prototyp naszej husarji, — węgierscy husarzy, już w wieku XVII zrzucają ciężkie zbroje i kopje, — nasza husarja pozostaje aż do XVIII. wieku najcięższą jazdą bojową, nie zmieniając nic ze swego zasadniczego rynsztunku.

* * *

Wiek XVIII przynosi radykalną zmianę sposobu prowadzenia wojen. Husarja staje się przeżytkiem...

Kiedy w roku 1740 umarł podkomorzy parnawski, Kampenhausen, na pogrzeb jego zjechali się wszyscy żyjący jeszcze husarze, w liczbie zaledwie siedmdziesięciu.

Garstka ta dotrzymywała sobie wzajem aż do ostatniej chwili serdecznej przyjaźni i miłości. Skoro jeden z nich umierał, wszyscy pozostali spieszyli na jego pogrzeb, zakuci w swe paradne zbroje, z skrzydłami u ramion. A ludziska uśmiechali się na ich widok, zowiąc ich „rycerzami pogrzebowymi“.

I tak oto pocichu, w zapomnieniu, dokonali żywota ostatni epigoni skrzydlatej husarji, co przez dwa zgórą wieki roznosiła sławę polskiego oręża po całym świecie.

(kr.)

Ciekawostki ze świata

Angielska sobota

Angielska sobota nie jest bynajmniej wynalazkiem angielskim. Świadczą o tem pamiętniki Klaudjusza Haton, francuskiego księdza z XVI w. Podczas szalejącej z wielkiem nasileniem wojny religijnej, wieśniacy z Szampanji i la Brie zaczęli nagle kończyć pracę w sobotę z uderzeniem południa. Ks. Haton widział w tym obyczaju herezję hugenocką, zawracającą ku Staremu Testamentowi. Wraz z kilku innymi duchownymi przebiegał kraj, wygłaszając kazania przeciw temu święceniu soboty i nazywając je pół-żydowskiem. Pokazało się, że pomysł tego wczesnego rozpoczynania spoczynku niedzielnego wyszedł od dziewczyny wiejskiej z Charly - sur - Marne, która powoływała się na objawienie

„Angielska sobota“ XVI w. była jednak w sprzeczności także z edyktem królewskim, nakazującym pracować na roli aż do zmroku. Wobec tego władze uwięziły ową dziewczynę, której nazwiska Haton nie podaje. Odesłano ją do Nancy i tam za wyrokiem sądu królewskiego spalono jako czarownicę.

Zdjęcie klątwy

W roku 1903 wieś Glade k. Tetowa należała jeszcze do Turcji. Ludność przyjęła wówczas biskupa prawosławnego ze Skoplje, przybywającego na wizytację, tak niechętnie i niegrzecznie, że ten rzucił na wieś klątwę. Od tego czasu upłynęło lat trzydzieści. Miejscowość należy do Jugosławji, a mieszkańcy jej przyszli do przekonania, że wszystkie klęski, jakie spadały na nich, były wynikiem klątwy. Klęsk zaś było niemało: Spłonęła cerkiew od pioruna, grad niszczył często plony, wybuchały zarazy bydlęce, to znów palily i rabowały bandy dzikich komitadżich. Wobec tego wieśniacy upokorzyli się przed władzami kościelnemi i obecny biskup Skoplje uroczyście zdjął z nich klątwę.

—o—

styce, drobiazgowość obserwacji, oddawanie nastrojów i szereg wybornych scen wysuwają „Zielone zwierciadło“ na czoło twórczości Walpole'a.

Jeszcze wyżej stoi „Katedra“ (1922), najpopularniejsza z jego powieści, więc sfilmowana później, a niedawno udramatyzowana przez samego autora. I tu problemem jest konflikt między pokoleniami, a antywiktorjanizm podkreślony przez to, że katastrofa koncentruje się około dni jubileuszu sędziwej królowej w r. 1897. Inny symbol stanowi prastara katedra, górująca, jakby nieśmiertelny olbrzym nad Polchester i przygniatająca ludzi swym ogromem.. Głównymi bohaterami są dwaj wyżsi duchowni. Jeden z nich archidjakon (t. j. pierwsza osoba po biskupie) Brandon przez długie lata rządził diecezją, katedrą i właściwie też miastem, zaspakajając swoją energję i żądzę władzy. Jest absolutnym egoistą, ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Przybywa do miasta kanonik Ronder, rodzaj poczciwego Jaga, który pod pozorami dobroduszności kryje genjalną zdolność do intryg. Prowadzi on przeciw archidjakonowi systematyczną kampanję — nie tyle, aby mu wydrzeć władzę, ile aby zaspokoić swą chciwą zwycięstw inteligencję. Jest jak Jago, amatorem tragedji w rzeczywistem życiu. I doprowadza tragedię Brandona, na którym równocześnie mści się i los, i własna gwałtowność oraz bezkompromisowość, i długoletni egoistyczny stosunek do rodziny, dalej niż pragnął doprowadzić. Główną nicią akcji jest walka o obsadę pewnej parafji. Ronder jest za wybitnym teologiem modernistą, którego Brandon uważa poprostu za bezbożnika. Dlatego chciałby beneficjum oddać półgłówkowi, skoligaconemu z arystokracją. Gdy na kapitule kontrkandydat przeszedł wszystkiemi głosami przeciw jednemu Brandona, pokonany archidjakon pada trupem. Zarówno rysunek tego Joba - egoisty, jak jego wroga, dwojga dzieci Brandona i całego szeregu mniej ważnych postaci, składających się na świa tek miasta katedralnego, jest podziwu godny. Udało się również świetnie wydobycie tragicznych nastrojów i efektów z motywów mniej więcej codziennych.

ODWRÓT KU WIKTORJANIZMOWI.

Brak mi tu miejsca na omówienie czy to trylogji o Jaremce [1], czy to wielu innych utworów Walpole'a. Przechodzę do powieści „Wintersmoone“ (1928) złączonej z cyklem obyczajowym i szeregiem osób i idea. Lecz pod względem idei następuje tu przełom.

Dobrych kilka lat temu, pisząc książkę „Z Anglji współczesnej“ zdeklarowałem się jako krytyk tej Anglji współczesnej, a wielbiciel wczorajszej. Wspominam to z pewną dumą, gdy dziś patrzę, jako pośród elity umysłowej samej Anglji jeden po drugim nieprzyjaciel wiktorjanizmu zawraca ku niemu. Walpole przeszedł ten sam proces, co Galsworthy i szereg innych.

Zrażony widokiem powojennego chaosu i rozprężenia poznał, że wyrok, jaki wydawano na wiktorjanizm, był lekkomyślny, że cały szereg jego ideałów zasługuje na wskrzeszenie, że trzeba odrzucić rzeczy, które miały jedynie wartość formalną lub przeżyły się, a nanowo wpoić społeczeństwu inne o wartości wiecznotrwałej. Pogodził się również Walpole z arystokratycznym duchem społeczeństwa angielskiego.

POWIEŚĆ O RODZIE HERRIESÓW

Nadało to charakter jego twórczości lat ostatnich. Cofnął się teraz w dalszą przyszłość i, posługując się spopularyzowaną przez Galsworthy'ego formą, wziął się do olbrzymiej tetralogji, malującej na odległem tle historycznem blisko 200 lat życia prowincjonalnego — tym razem w słynnym kraju jezior na granicy Szkocji. Dotąd wyszły trzy części („Łotr Herries“, „Judyta Paris“, „Twierdza“). Cykl ten czas będzie omówić po zapoznaniu się z ostatniem ogniwem. Na razie wystarczy powiedzieć, że nad całością góruje znowu potężna postać kobiety i że Walpole popada nieraz — może bez pełnej świadomości — w podobny ironiczny stosunek do przedmiotu, jak Galsworthy.

[1] Wiem o polskim przekładzie „Jaremki i Hamleta“ (ow. Wyd. Błaszcz. Warszawa).

Przyszłość życia na ziemi

Dokąd dążymy, co czeka nas w przyszłości?

Oto jedno z najstarszych i najbardziej niepokojących pytań kulturalnej ludzkości. Niepokoi ono od wieków najtęższe umysły, a i laik spoglądając na cuda ziemi, lub podnosząc wzrok ku niebu, na którem ręka Boża rozsiała miljony gwiazd, chciałby przeniknąć zasłonę okrywającą przyszłość i wydrzeć choć cząstkę tajemnicy. Z tego pragnienia zrozumienia wszechrzeczy, określenia naszej pozycji i możliwości rozwoju ludzkości rośnie gmach wiedzy ludzkiej, a ustawiczny rozrost jej poszczególnych gałęzi rzuca coraz to nowe światło na zawikłany kompleks zjawisk życia naszego, pozwalając równocześnie snuć pewne wnioski na przyszłość.

Wre więc gorączkowa praca fizyków, chemików, geologów i astronomów, w pracowniach ich formują się coraz to nowe cegiełki, z których z czasem twórcza myśl ludzka w wspaniałej sytezie zbuduje gmach jednej wielkiej wiedzy ludzkiej o wszechrzeczy.

Ale i dziś, choć zbiór naszych cegiełek mądrości jest jeszcze bardzo niezupełny, nie brak śmiałych prób twórczej syntezy, tłumaczącej nam nieraz w genialnych rzutach rozgrywający się ustawicznie dokoła nas dramat życia. Do takich znakomitych mistrzów współczesnej wiedzy należy angielski astronom Jeans, który w rzadko spotykany sposób umie połączyć pracę i ścisłe badanie naukowe z popularyzacją nowych zdobyczy wiedzy. W swojem dziele, przetłumaczonem na język polski pt.: „Wszechświat"*) podaje nam Jeans nietylko najnowsze wyniki badań astronomicznych, ale porusza również doniosłe zagadnienia już raczej o charakterze filozoficznym, do jakich niewątpliwie należy i kwestja wymieniona w tytule niniejszego artykułu.

Jaka jest nasza przyszłość, względnie jaki i kiedy będzie nasz koniec?

By dać na to pytanie odpowiedź cofnijmy się wraz z Jeansem najpierw w przeszłość.

Ziemia powstała ze słońca jakieś dwa miljardy lat temu. Zabłysła wówczas na widnokręgu wszechświata jako kula rozżarzonego gazu, na której oczywiście darmo szukaćbyśmy chcieli chociażby najpierwotniejszych śladów życia.

Z biegiem jednak czasu rozżarzona kula stygnie, gazy poczynają się skraplać, by zkolei przejść w stan stały plastyczny; dalszy spadek temperatury powoduje krzepnięcie powierzchni, wytwarza się stała skorupa ziemska. W pewnym momencie ulega skropleniu znajdująca się w atmosferze ziemskiej para wodna, która opadając na ziemię wypełnia jej wklęsłości, powstałe przy krzepnięciu skorupy — powstają oceany i morza. I dopiero wówczas zapewne pojawia się życie. Początkowo gnieździło się one w wodzie, z czasem jednak ryby przekształciły się w gady, później z gadów powstały ssaki, życie z wody wyszło na ląd, a wreszcie pojawia się król stworzenia człowiek.

Jak te wszystkie okresy rozwoju ziemi i życia wyglądają w ludzkiej skali czasu?

Życie zakorzeniło się na ziemi przynajmniej trzysta miljonów lat temu, a jakich trzysta tysięcy lat temu pojawił się na ziemi człowiek. A zatem ludzkość — patrząc na nią okiem astronoma — jest bardzo młoda!

A jakież są przyszłe losy życia ludzkości na ziemi?

Ziemia będąc na początku rozżarzoną masą gazową z biegiem czasu ostygła i dziś tylko dzięki ciepłu słonecznemu utrzymuje się na niej temperatura warunkująca życie. Od ciepła i światła słonecznego jest zatem całkowicie życie ziemskie zależne, a ponieważ to życiodajne źródło wiecznie jednakiem nie będzie, więc i życiu na ziemi zagrażają poważne zmiany. Astronomja jednak nas pociesza, twierdząc, że jeśli chodzi o wpływ samego słońca i zapasy jego energji, to życie ziemskie ma przed sobą przyszłość dłuższą, niż całe minione dzieje ziemi.

Słońce wskutek zachodzących w niem przemian, wskutek ustawicznego promieniowania swojej energii zmniejsza z biegiem czasu swoją masę, co zmusza ziemię do oddalania się od źródła swej energji o 1 metr na stulecie, a jeśli się przytem uwzględni, że z biegiem czasu promieniowanie słoneczne będzie coraz mniejsze, to trzeba przewidzieć, że po upływie około biljona lat nieubłagany bieg rzeczy doprowadzi do spadku temperatury powierzchni ziemi o jakieś 30 stopni C. Czy życie wówczas zamrze?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, wiedząc o tem, jak życie organiczne potrafi się przystosować do najrozmaitszych warunków: „Jest więc rzeczą możliwą — pisze p. Jeans — że nawet przy temperaturze o 30 st. niższej niż obecna, po upływie biljona lat, życie będzie mogło istnieć na ziemi. W każdym razie cieszę się, że los nie kazał mi żyć w odległej tej przyszłości. Denudacja trwająca biljon lat wygładzi rzeźbę powierzchni ziemskiej niemal dokładnie, morza i rzeki zamienią się całkowicie w lód. Wiedza ludzka będzie wówczas nieporównanie rozleglejsza od obecnej, lecz człowiek ówczesny nie zazna już uczucia pioniera, który odkrywa nowe w tej wiedzy dziedziny. Pokonana będzie choroba, a może i śmierć sama: życie bezwątpienia będzie pewniejsze i nieporównanie lepiej uporządkowane niż dzisiaj. Trudno będzie dać wiarę temu, że mógł był istnieć czas, kiedy ludzie ryzykowali — i tracili życie, podróżując po nieznanych krajach, wdzierając się na niedostępne wierzchołki górskie, walcząc z dzikiemi zwierzętami — a wszystko to dla rozkoszy czynu".

Może kiedyś sprawdzi się ta prorocza wizja życia, o ile na tym Bożym świecie pójdzie wszystko normalnym biegiem rzeczy. Niestety mogą zajść w wszechświecie wypadki, które położą kres ludzkości przed upływem owego biljona lat. Może się słońce zderzyć z inną gwiazdą, może jakaś planetoida spotkać się z ziemią, może wreszcie słońce ulec gwałtownemu skurczeniu się, zmniejszając przytem ilość wysyłanego promieniowania do małego ułamka wartości obecnej, co w konsekwencji zmieniłoby nasze morza w lód, atmosferę zaś w ciekłe powietrze: dalsze istnienie życia ziemskiego w tych warunkach byłoby niemożliwe. Jest rzeczą jednak mało prawdopodobną, by ten ostatni kataklizm mógł się wydarzyć przed upływem tego biljona lat.

Jeżeli jednak pominiemy mniej więcej prawdopodobne katastrofy, to przy naturalnym biegu ewolucji układu słonecznego, ziemia, jak powiedzieliśmy wyżej będzie mogła stanowić podłoże dla życia organicznego jeszcze przez jakieś biljon lat, a nawet gdyby któryś z tych kataklizmów miał się rzeczywiście wydarzyć, to nastąpi to w okresie nie o wiele mniejszym od biljona lat. A więc i tak przed ludzkością rozciągają się dziesiątki miljardów lat trwania!

My przyszliśmy na świat w zaraniu dziejów ludzkości, przypadła nam w udziale budowa fundamentów pod gmach ludzkiej wiedzy i kultury. W perspektywie dziejów wszechświata gmach ten, o ile tylko zechce tego Stwórca Wszechpotężny, urosnąć może do niebotycznych rozmiarów. Myślą więc o tej olbrzymiej budowie i poczuciem odpowiedzialności za jej całość winniśmy się kierować we wszystkich dziedzinach naszej twórczości.

B.

*) Sir James Jeans „Wszechświat". Nakładem „Mathesis polskiej". Warszawa 1932.

Legja maszeruje

Pomiędzy kratą więzienną a uśmiechem sławy

Tajemniczo od roku 1835 wstaje i zachodzi słońce Marokka nad garnizonami. Sidi-bel-Abbès, Fes, Meknes, Marrakech, Kenitra... Legja cudzoziemska...

Głucho dławi się głos bębna, żałośnie jęczy trąbka. Ucieka jakaś historja życia, przełamana kratą więzienną lub zawiedzionem uśmiechem szczęścia. Na suchy piasek padnie łza, a tuż po niej dzikie przekleństwo. Żołnierz Legji cudzoziemskiej...

Tajemniczy. Zawisł pomiędzy walecznością i obojętnością. Tu i tam skrzywi się doń jakiś epizod weselszy a zresztą walka, spiekota, tęsknota, nuda...

Jak naprawdę wygląda dusza Legji cudzoziemskiej? Jakie nią poruszają sprężyny? Żadna organizacja wojskowa nie zbudowała dokoła siebie tyle wiadomości sprzecznych, tendencyjnych, wykoszlawionych, ile ich zgromadziło się w cieniu sztandarów Legji cudzoziemskiej.

Komu z nas nie wpadły do rąk jaskrawe zeszyty senzacyjnych pamiętników: „Pięć lat w piekle Legji cudzoziemskiej", i kto znów nie pieścił się treścią pięknego obrazu filmowego „Marokko", w którym Marlena Dietrich pędzi po piaskach pustynnych za sercem białego legjonisty.

Gdzieś tu i tam na łamach poważnych nieraz dzienników zjawi się grozą siejący opis: Podoficer legji po całodziennym forsownym marszu i ćwiczeniach ustawia na dziedzińcu koszarowym zgłodniały oddział i każe mu wdychiwać nad kotłem żołnierskim przez minut dziesięć zapach potrawy, by po tych bestjalskich torturach odkomenderować żołnierzy z powrotem do zajęć ćwiczebnych. Innym znów razem jakiś oficer urządza w mroźną noc popisy godzinne nagich legjonistów, nie bacząc na ich męki i zdrowie. Być może, że komuś te tendencyjne epizody idą na rękę. Być może! Podnieść jednak chcemy, że cały szereg poważnych dzienników szwajcarskich i włoskich (francuskie pomijamy), podkreśla świadomą tendencyjność tych wiadomości.

Mimo to jednak nie należy poddawać się sugestji, że życie członka Legji cudzoziemskiej kładzie się na różach, nie jest jednak prawdą, że jest on więźniem swej oryginalnej, pustynnej kasarni. Nie!

Wystarczy po piątej lub szóstej popołudniu przejść się ulicami Fez, Sidi-bel-Abbes itd., by natknąć się na gromadki lub pojedynczych legjonistów poznać ich można po śnieżno-białych czapkach — rozochoceni, a jednak przygnębieni. Ludność zna legjonistów doskonale, ocenia ich cnoty i wady, ich nawyczki i maniery, godne niejednokrotnie średniowiecznych landsknechtów.

Gdy się zbyt naprzykrzą mieszkańcom miasta dowództwo wyprowadza oddziały w pełnym rynsztunku poza miasto i tłumi energję na rozpalonych piaskach zadumanej pustyni marszami i ćwiczeniami. Jeden z dziennikarzy szwajcarskich, któremu udało się podsunąć pod bramy kasarń francuskich legjonistów, twierdzi że, na mundur i mieszkanie nie mogą się użalać. Kasarnia pozostanie zawsze kasarnią. Te, które widział są obszerne i mniej — jak twierdzi — ponure od europejskich. Jedzenie nie jest wykwintne, zwyczajna, obfita, zdrowa strawa żołnierska. A ponadto otrzymują legjoniści nieskromny żołd, tak, że mogą sobie pozwolić na dodatkowe kolacje w restauracjach i kawiarniach w swych miastach garnizonowych. Nie jest ich życie radosne. Przeciwnie.

Większa część natychmiast, gdyby to tylko było możliwem opuściłaby szeregi legji. Nie ma legjonisty, któryby bądź to nie próbował, bądź też nie planował ucieczki. Pokusa ta nawiedza zwłaszcza tych, którzy na początku swej służby ulokowani zostali w Qudschde nad granicą posiadłości hiszpańskiej. Co do takiego „granicznego" legjonisty można zgóry przewidzieć, że podda się pokusie. Niestety statystyka udałych ucieczek jest nikła — ludność bowiem tubylcza tak jest wyszkolona, że schwytawszy zbiega oddaje go w ręce oficerów.

Niech jednak nikt nie sądzi, że dezertera poddaje się z miejsca torturom, że go się przydziela do karnych ekspedycji w pustyni. Nie. Za pierwszą próbę ucieczki otrzymuje karę trzechmiesięcznego więzienia i na tem się kończy.

Dlaczego jednak legjoniści nie wytrzymują służby? Główną przyczyną tego jest przedewszystkiem nuda. Monotonny tryb życia żołnierskiego. Dzień za dniem ten sam program: Pobudka, wstawanie, apel, wymarsz, ćwiczenia, powrót, czyszczenie — i tak w nieskończoność. Żaden dzień urlopu, żaden dzień święta czy odpoczynku. Ciągle ci sami ludzie, to samo otoczenie żołnierzy, oficerów, zakutych w regulamin służbowy. A pozatem nic, pustka. Od czasu do czasu jakieś małe nieporozumienia koszarowe, jakieś małe szykany, wszystko zjawiska tak znane z życia koszarowego. To męczy, łamie, dusi. Cóż wobec tego znaczy łżejsza lub ostrzejsza dyscyplina, lepsze lub gorsze jedzenie — na duszy kładzie się ciężar, który stokroć więcej gniecie, niż wszystkie dolegliwości garnizonu.

Już świadomość pięcioletniej, nieprzerwanej służby, łamie zwłaszcza najmłodszych, niemałą rolę odgrywa tu i tęsknota za krajem. Wszak niebo jest obce, rośliny obce, ludzie obcy. Człowiekowi północy zdaje się jakgdyby spadł na jakąś inną obcą planetę. Na początku wszystko go bawi, ale już po krótkim czasie z piersi jego wyrywa się stały jęk: Europa.

Tęsknota ta przychodzi nieraz nagle. Wymieniony dziennikarz szwajcarski pomieszcza wstrząsający wypadek. Dwu legjonistów postanowiło wspólnie zbiec. Uczepili się wieszaków wagonowych pociągu zdążającego z Fes do Tangeru. Jeden z nich w czasie jazdy stracił równowagę i padł plecami na tor, przyczem nogi pozostały w wieszakach. Pociąg podrzucając ciałem, włókł je na całej przestrzeni. Towarzysz nieszczęśliwego musiał być świadkiem tego, jak od ciała kolegi odpadały pojedynczo członki. Skoro tylko pociąg się zatrzymał złamany straszną śmiercią swego towarzysza oddał się dobrowolnie w ręce policji. I cóż się okazało.

Oto temu, który w tak nieszczęśliwy sposób postradał życie, brakowało do wysłużenia zaledwie dwa miesiące. Wytrzymał cztery lata i dziesięć miesięcy, nie przetrzymał ostatnich sześćdziesięciu dni. Monotonja garnizonu załamała go tuż niemal przed drzwiami wyjściowemi.

Nie wolno zapominać również i o gatunku ludzi, z których się rekrutuje Legja cudzoziemska. Wielu nie zdaje sobie wprost sprawy z tego, co ich do tej służby skłoniło, wielu zapędziła tu awanturnicza lektura, wielu nie wiedziało wogóle co ze sobą w życiu zrobić, innych zagnało tu nieczyste sumienie, inni szukali tu ratunku po zawiedzionych nadziejach, nie wykluczając i przygód miłosnych.

A jednak są i tacy, którzy nietylko przetrzymują pięć lat ciężkiej służby, a co dziwniejsze podpisują cyrograf na dalszych pięć — zostają podoficerami, urzędnikami administracyjnymi itp.

Wymieniony dziennikarz szwajcarski spotkał w Legji w garnizonie Sidi-bel-Abbès jakiegoś bogatego Amerykanina, którego w szeregi francuskie zapędziła zawiedziona miłość. Skoro tylko przybył pod mury kasarni zapytał oficera czy może mu dać kogoś, ktoby mu poznosił z dworca walizy. Dobry wybrał sobie szpital na leczenie miłości? Dziś już kończy trzeci rok służby i piastuje szarżę sierżanta, a mimo wszystko nie zapomniał o swej miłości.

I jeszcze słów parę o tzw. kompanjach karnych. Z temi rzadko spotyka się oko Europejczyka. Według relacji oficerów Legji, karność w tych oddziałach jest nader ścisła. Od przebudzenia się aż do ułożenia się na spoczynek, nie ma żołnierz tej formacji ani jednej, dosłownie ani jednej chwili wolnej. A wszystko na rozkaz, jedzenie na rozkaz, praca na rozkaz, odpoczynek na rozkaz, całemi tygodniami, miesiącami. I w takim nastroju wykonują kompanje karne nader ciężkie prace, budując drogi w kamieniach pustyni, niejednokrotnie przy 40 stop. gorąca. Należy jednak dodać, że w skład tych kompanji wchodzą ludzie, którzy w życiu codziennem nie uczyniliby kroku bez wydania walki prawu i całemu otoczeniu.

Nic dziwnego przeto, że najdrobniejsze ich uchybienie bywa karane srogo i konsekwentnie. W tych metodach są Francuzi wyspecjalizowani.

Tyle więc uwag na temat Legji z nadmienieniem, że życiem jej zajął się ostatnio w swej powieści pt. „La legion straniera" włoski pisarz Paolo Zappa.

(K)